

# Czasy mesjasza



## ICCHOK LEJB PEREC

OPOWIADANIA CHASYDZKIE I LUDOWE

# Czasy mesjasza

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

Tak jak we wszystkich miastach i miasteczkach Galicji tak też i w naszej gminie mieszkał wariat.

Wariat jak to wariat, przed nikim strachu nie odczuwał. Ani przed kahałem<sup>1</sup>, ani rabinem, ani sędziami. Nawet łaźniebnego z mykwy<sup>2</sup> i grabarza na cmentarzu, którego najbogatsi w mieście się bali, miał za nic.

Ludzie zamykali przed nim bramy i drzwi mieszkań. I chociaż biedny wariat nikogo słowem nie skrzywdził i palcem nie ruszył, to jednak wszyscy podnosili na niego głos, a niektórzy nie żalowali mu nawet kopniaków. Chłopcy z ulicy często obrzucali go błotem i kamieniami.

Ja zaś odczuwałem zawsze w stosunku do niego litość. Coś niepojętego ciągnęło mnie do niego. Miałem ochotę porozmawiać z nim, a nawet pogłaskać go po głowie, ale podejść do niego okazało się niemożliwe, albowiem błoto i kamienie, którymi ulicznicy go obrzucali mogły w części i na mnie spaść. Ja byłem chłopcem ubranym w porządną garniturek uszyty w samym Lwowie lub Krakowie i usilnie starałem się, żeby go nie ubrudzić. Z tego więc powodu trzymałem się z daleka od niego.

Miasteczko, w którym mieszkali moi rodzice i w którym spędziłem dziecięce lata, było twierdzą ogrodzoną fosą, wałami i wysokimi murami. Na murach rozmieszczone były armaty i w niewielkich odstępach stali na wartach uzbrojeni w karabiny żołnierze.

Z chwilą zapadnięcia nocy podnoszono zwodzony most i zamykano wszystkie bramy. Do samego rana miasteczko było odcięte od świata. Przy każdej bramie prowadzącej do miasteczka stał wartownik.

Dopiero po nastaniu pełnego dnia byliśmy wolni. Wolno było wchodzić do miasta i wychodzić z niego bez pytania komendanta placu. Wolno było zażywać kąpieli w rzece płynącej za miastem. Można było rozłożyć się na nadbrzeżnej łące i patrzeć w niebo lub w siną dal.

Patrzeć na to, na co miało się ochotę. Nikt nikomu w niczym nie przeszkadzał, a jeśli nawet ktoś na czas nie powrócił do miasta, nikt o niego się nie dopytywał. Był jeden tylko wymóg: w nocy musiała panować bezwzględna cisza. Wtedy nie wolno było nikomu ani wyjść, ani wejść. Nikogo nie wypuszczano i nikogo do miasta nie wpuszczano. Jedyną szczęście, że wpuszczają do niego księżyc — myślałem wtedy.

Jak długo będę żył, nie zapomnę widoku uchodzącego dnia i zapadania nocy. Pamiętam, że kiedy tylko pierwsze cienie zmierzchu zaczynały kłaść się na miasto, ludzi ogarniał strach. Ze strachu zarówno ludzie, jak i domy jakby się przygarbiły.

Następowała pora podniesienia mostu. Żelazne łańcuchy zaczynały trzeszczeć w potężnych blokach. Szczęk żelastwa i twarde skrzywienie stalowych lin przejmowały człowieka zgrozą. I co wieczór powtarzało się to z niesłabnącą siłą. Nogi pod człowiekiem uginały się ze strachu, twarze tępiały ze zmęczenia, oczy gasły jak u konających, powieki opadały, jakby były z ołowiu. Serca cichły i płuca z trudem wciągały powietrze. Patrole nocne zaczynały krążyć po ulicach. Słychać było szczęk szabel przy każdym zderzeniu z wysokimi butami — gumiakami noszonymi przez patrolujących żołnierzy.

<sup>1</sup>kahał — gmina żydowska, może również oznaczać zarząd gminy. [przypis tłumacza]

<sup>2</sup>mykwa — rytualny basen, w którym pobożny Żyd oczyszcza swoje ciało. [przypis tłumacza]

Przy błysku bagnetów padały pytania: „kto tam?” Na to hasło trzeba było odpowiedzieć odzewem: „swój”, „tutejszy”. W przeciwnym wypadku jeden tylko Pan Bóg mógł przewidzieć, co się stanie. Toteż nic dziwnego, że wielu mieszkańców wołało zamykać się na klucz w domu i porządnie zaryglować drzwi. Bali się wychodzić poza próg domu.

I oto pewnego dnia zdarzył mi się taki wypadek:

Kąpałem się w rzece płynącej poza murami miasta. Rozkoszowałem się piękną naturą i nie wiem, czy z powodu zapatrzenia się w niebo, czy z zamyślenia nad sobą zapomniałem, że po dniu zwykle zapada noc.

Nagle widzę, jak zwodzony most zostaje podniesiony. W uszach szumi mi od trzasku zamykanych bram. Czuję, że serce zaczyna mi walić jak młot.

Przepadło! Tę noc zmuszony będę spędzić za miastem. I dziwna rzecz: dotychczas każdej niemal nocy śniłem o wolnym świecie poza murami miasta i oto kiedy po raz pierwszy moje marzenie się spełniło, ogarnął mnie lęk. Odwieczna, znana i właściwa człowiekowi rozterka między tym, co dyktuje głowa, a tym, co podpowiada serce, przybrała postać walki. Głowa mówiła do mnie: „Zachowaj spokój. Choć raz skorzystaj z dobrodziejstwa czystego powietrza. Delektuj się widokiem gwiaździstego nieba”. Serce natomiast zdrżało z niepokoju i omal nie wyskoczyło z piersi, po czym niby mgła uniosło się w górę, ku mojej głowie. I poprzednia jasna, czysta myśl zaczęła od razu ciemnieć i ciemnieć, aż zniknęła za chmurą. W uszach zaczęło mi szumieć, w oczach migotać. Najcichszy szum spadającej gałązki, najmniejszy ruch cienia lub źdźbła trawy wywoływał we mnie lęk. Wdzierał się w moje ciało i duszę przez uszy i oczy.

Ukryłem twarz w piasku.

Nie wiem, czy spałem, czy tylko tak sobie leżałem. Dalibóg nie jestem tego pewien, ale nagle usłyszałem, że ktoś obok mnie oddycha. Zerwałem się z półuśpienia i stwierdziłem, że nie jestem tutaj sam. Dwoje dobrze mi znanych, czarnych oczu wpatruje się we mnie dobrotliwie. Te oczy należą do naszego wariata. Pytam go:

— Co ty tutaj robisz?

— Ja nigdy nie śpiam w mieście.

W jego postaci tkwi coś smutnego. Patrzy na mnie łagodnym wzrokiem. Głos jego brzmi serdecznie, nawet bratersko. Zapominam o lęku. Przypominam sobie nagle, że w dawnych czasach uważano wariatów za proroków. Zresztą w krajach wschodnich po dziś dzień uważają ich za proroków.

W duchu zadaję sobie pytanie:

„Czy w istocie on także jest jednym z owych proroków? Czy nie prześladowają go tak samo, jak niegdyś prześladowano proroków? Czy nie obrzucają go kamieniami, tak jak ongiś obrzucano nimi proroków?”

Czy jego oczy nie błyszczą jak gwiazdy na niebie? Czy głos jego nie brzmi jak najdoskonalszy dźwięk harfy? Czy nie tkwi w nim ból nas wszystkich? Czy nie znosi on cierpienie całego naszego pokolenia? Może on jeden wie, co nas czeka w przyszłości?”

Ostrożnie, bez pośpiechu, żeby go nie spłoszyć, zadaję mu pytania.

Odpowiada na moje pytania łagodnym, cichym i tak słodkim głosem, że chwilami wydaje mi się, że rzecz dzieje się we śnie, że to tylko śniony w letnią noc przyjemny sen.

— Czy wierzysz — pytam go — w nadejście czasów mesjasza?

— Oczywiście — odpowiada spokojnie i pewnie. — Mesjasz musi przyjść.

— Musi?

— Bezwzględnie. Wszyscy czekają na niego. Nawet niebo i ziemia. Gdyby miało być inaczej, życie nie miałoby sensu! Nikt nie chciałby palcem nawet kiwnąć. Jeśli ludzie pracują, działają i tworzą, to znaczy, że życie ma sens, że ludzie chcą żyć. To świadczy o tym, że ludzie wierzą w nieuniknione nadejście mesjasza. Wiedzą, że jest już w drodze do nas.

— A czy to prawda — pytam dalej — że nim nadejdą czasy mesjasza, rozpętają się na świecie straszne wojny z powodu pojawienia się fałszywych mesjaszy? Ludzie będą się nawzajem pożerać jak dzikie bestie. Cała ziemia przesiąknie krwią. Od wschodu do zachodu, od południa do północy popłyną rzeki pełne krwi i wszystkie zwierzęta chleptać będą tę ludzką krew. Nasiąkną nią wszystkie ogrody, pola i drogi. I wtedy dopiero, kiedy ten potop krwi zaleje cały świat, nadejdzie prawdziwy mesjasz... Powiedz mi, czy to prawda?

— Szczera prawda!  
— I ludzie go poznają?  
— Każdy, od razu go pozna. Nikt się nie omyli. To będzie mesjasz w każdym ruchu, każdym słowie, każdym spojrzeniu, w każdym nawet grymasie twarzy. Nie będą mu towarzyszyły zastępy wojsk. Nie przyjedzie na koniu i miecza nie będzie miał przy swoim boku.

— A co będzie miał?  
— Skrzydła. Mesjasz będzie miał skrzydła. Po jakimś czasie wszystkim ludziom wyrosną skrzydła. A stanie się to w taki sposób: z początku nagle przyjdzie na świat jedno dziecko ze skrzydłami. Potem drugie, trzecie itd. I tak już będzie ciągle... Ludzi ogarnie wtedy strach, ale potem się przyzwyczają. I coraz więcej dzieci urodzi się ze skrzydłami, aż wyrosnie całe pokolenie uskrzydłone. Pokolenie to nie zechce już tkwić i tarzać się w błocie. Nie zechce już zaciekle walczyć o nędzny byt, o nędzny zarobek, o robaczywe pieniądze.

Długo jeszcze mówił na ten temat, ale ja przestałem go już rozumieć, aczkolwiek głos miał nadal łagodny i smutny, a jego słowa wsiąkały w moje serce jak w gąbkę.

Kiedy skończył, zaczynało już dzień.

Usłyszałem, jak spuszcza ją z twierdzy zwodzony most.

Od tej nocy życie moje w twierdzy stało się nie do zniesienia. Wszystko mi obrzydło: stare zmurzałe mury, trzeszczący ciągle most, żelazne bramy, warty i patrole, chrapliwe wołanie wartowników: „kto tam?” i fałszywa, służalcza odpowiedź: „swój”, „tutejszy”. Obrzydły mi do reszty te wiecznie drżące ze strachu gliniaste twarze mieszkańców, ich przerażone oczy. Nie mogłem dalej patrzeć na rynek, który swoimi drgającymi błędzącymi cieniami kładł się ciężarem na mojej duszy. Nie pozwalało mi to oddychać pełną piersią. Nie pozwalało czuć się wolnym człowiekiem.

I uświadomiwszy sobie to wszystko, poczułem w sercu ból. I naraz ogarnęła mnie przemożna tęsknota... Postanowiłem wyruszyć na spotkanie mesjasza.

Wsiadam do pierwszego napotkanego wozu. Bałaguła<sup>3</sup> mierzy mnie wzrokiem i pyta:

— Dokąd?

— Dokąd chcesz, byle daleko stąd.

— Na jak długo?

— Jak długo koń wytrzyma.

Bałaguła pociąga za lejce i jedziemy. Coraz bardziej oddalamy się od miasta-twierdzy. Przede mną inne pola, inne wsie i inne miasta. Wszystko jest inne. Jest to jednak wrażenie pozorne. Z wysokości wozu wydaje się inne. W istocie rzeczy wszystko jest takie samo. Przypatrzysz się dokładnie mijanym miejscowościom, dostrzegam unosząc się nad nimi tę samą melancholię. W oczach spotykanych ludzi zauważyłem te same fałszywe błyski. Nad wszystkimi polami, miastami i wsiami unosiła się mgła, która nie przepuszczała światła z nieba. Gasiła wszelką radość. Wszystko wydawało się skurczone, przyduszone i ściśnięte. Dlatego bez przerwy poganiam mego bałagułę. „Dalej — krzyczę. — Jedź dalej!” Ale nie ja decyduję. Zależny jestem od bałaguły, a ten zależny jest od konia... A koń chce żreć. Chcesz, czy nie chcesz, musisz się zatrzymać.

Wstępuję do przydrożnej karczmy. Duża izba przedzielona zwisającą zasłoną na dwie części. W tej części, do której wszedłem, siedzą przy dużym stole trzej mężczyźni. Nie zwracają na mnie uwagi. Za to ja mogę sobie dokładnie ich obejrzeć. Najstarszy z nich jest siwy jak gołąb, ale trzyma się równo, jest żwawy i ma zdrowe oczy. Bez okularów czyta w jakiejś dużej, leżącej przed nim na stole księdze. Na tle białej połyskującej srebrnymi skrajami księgi, on i księga zlewają się niejako w jedną całość. Po jego prawicy siedzi młodszy mężczyzna. To zapewne jego syn. Ta sama twarz, ale bardziej ruchliwa, bardziej nerwowa. Chwilami wydaje się zmęczona. On także ślęczy nad księgą. Oczy ma jednak słabsze. Nosi okulary. Jego księga jest trochę mniejsza i trzyma ją blisko oczu. Jest w średnim wieku. Broda i pejsy zaczynają już tu i ówdzie świecić srebrem. Kiwa się nad księgą. Raz do przodu, raz do tyłu. Odnoszę wrażenie, że ma ochotę oderwać się od księgi, ale nie daje rady, bo księga przyciąga go z powrotem. Dostrzegam, że wargi jego drżą. Raz po raz patrzy na starego, ale ten nie reaguje. Nie zauważa go. Po lewicy starego

<sup>3</sup>bałaguła — furman. [przypis tłumacza]

siedzi najmłodszy. Z pewnością jest to jego wnuk. Młodzieniec ma czarne, błyszczące włosy i nerwowo skrzzące się oczy. On też zagłada do książki, która jest znacznie mniejsza od książek obu starszych mężczyzn. Książkę trzyma tuż przed oczyma. Od czasu do czasu odsuwa ją od oczu i spojrzeniem pełnym lęku i szacunku obejmuje starego mężczyznę. Na ojca natomiast patrzy z uśmiechem nieco ironicznym. Nachyla się ku zasłonie, ciekaw, co się za nią dzieje. Dochodzą stamtąd jakieś westchnienia i jęki. Jakby kobieta właśnie tam rodziła.

Mam zamiar zakaszleć, żeby wreszcie zwrócili na mnie uwagę, ale w tej samej chwili rozchyła się w jednym miejscu zasłona i dwie kobiety pojawiają się przed nami. Jedna jest stara z twarzą o wystających kościach i oczach zdolnych przeniknąć do wnętrza człowieka. Druga, młodsza od niej, kobieta w średnim wieku ma twarz pucułową i łagodną. Z jej oczu bije jakaś niepewność. Stoją i przyglądają się siedzącym przy stole mężczyznom. Stoją i czekają na pytania. Najstarszy nie zwraca na nie uwagi. Jego dusza jest teraz zespolona z duszą czytanej księgi. Mężczyzna w średnim wieku zastanawia się, jak przywołać do przytomności ojca. Najmłodszy zaś, nie zwlekając zrywa się z miejsca i woła:

— Mamo! Babciu! I co...

Jego ojciec wstaje od stołu. Jest wyraźnie zaniepokojony. Tymczasem dziadek odsuwa na centymetr księgę od siebie i kieruje wzrok ku kobietom.

Najmłodszy drżącym głosem ponawia pytanie:

— I co z nią?

— W porządku. Już po wszystkim.

— Urodziła? Urodziła?

Ojciec najmłodszego głosem, w którym brzmi zdziwienie, pyta:

— Matko, dlaczego nie gratulujesz? Dlaczego nie mówisz *mazł tow*<sup>4</sup>?

Stary zaś po dłuższym namyśle powiada:

— Co się takiego stało, że nie słyszę od ciebie *mazł tow*? A jeśli nawet urodziła się dziewczynka...

— Nie żadna tam dziewczynka — odzywa się starsza. — To nawet chłopiec.

— Martwy?

— Ależ nie! Żyje — odpowiada stara kobieta, ale w jej głosie nie ma radości.

— Czy to jakiś potworek lub kaleka?

— Nie, ale na ramionach rysują mu się jakieś znaki.

— Jakie znaki?

— Znaki skrzydeł.

— Skrzydeł?

— Właśnie. I zaczynają z nich wyrastać skrzydła.

Słyszac to, stary aż przysiadł z przerażenia. Jest wyraźnie zatroskany. Mężczyzna w średnim wieku jest pełen zdumienia. Tylko najmłodszy podskakuje z radości:

— Świetnie! Doskonale! Niech rosną te skrzydła. Niech wyrosną na prawdziwe, duże, mocne skrzydła.

— Nie ma powodu cieszyć się z tego — odzywa się mężczyzna w średnim wieku.

— Straszny kaleka — wzdycha najstarszy.

— A to dlaczego? — pyta najmłodszy.

Stary, stanowczym, surowym głosem oświadcza:

— Skrzydła, wnuku, unoszą człowieka w górę... Ze skrzydłami nie można utrzymać się na ziemi.

— To co z tego — replikuje wnuk. — Wielka mi rzecz, żyć na ziemi i tarzać się w jej błocie. Lepiej żyć wysoko w górze. Czy niebo nie jest piękniejsze od ziemi?

Twarz starego pokrywa się błądzą. Ojciec najmłodszego zabiera wtedy głos:

— Głuptas z ciebie, moje dziecko! Jak można żyć na wysokościach? Czym można się tam odżywiać? Samo powietrze nie wystarczy. Tam nie ma karczmy. Tam nie dostaniesz koncesji na dostawy. Tam nie ma nawet gdzie i u kogo kupić zajętych skórek. Tam wysoko w górze...

<sup>4</sup>*mazł tow* — dosł.: gwiazda, dobry los; formuła życzeń pomyślności, gratulacji wypowiedzianych z okazji radosnych wydarzeń np. narodzin dziecka, zaręczyn, ślubu, po zażegnaniu jakiegoś nieszczęścia lub po pomyślnym zakończeniu jakiejś czynności. [przypis edytorski]

Stary mu w tym momencie przerywa. Ostrym mocnym, stanowczym głosem oświadcza:

— Wysoko w górze nie ma bóżnicy. Nie ma domu nauki. Nie ma miejsca do odprawiania modłów. Tam nie ma tej udeptanej przez wszystkie poprzednie pokolenia ścieżki. Tam w górze, człowiek zabłądzi, zabląka się, bo nie ma drogi, po której kroczyli wszyscy nasi poprzednicy... Jest się wprawdzie wolnym ptakiem, ale biada takiemu wolnemu ptakowi, jeśli dopadnie go zwątpienie i ogarnie go melancholia!

— Jak się będzie nazywał? — krzyczy już prawie najmłodszy.

Widać, że jest wściekły. Zalewa go krew. Oczy goreją. Chce coś dodać, ale babcia wpada mu w słowa...

— Głupi mężczyźni! O czym wy tu dyskutujecie? A rabin...

— Czy rabin pozwoli go obrzezać? Czy pozwoli odmówić błogosławieństwo nad skrzydlatym dzieckiem...

I w tej sekundzie budzę się. Moje nocowanie poza miastem, moja podróż i historia ze skrzydlatym dzieckiem okazały się zwykłym snem.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/perec-opowiadania-chasydzkie-i-ludowe-czasy-mesjasza>

Tekst opracowany na podstawie: Icchok Lejbusz Perec, Opowiadania chasydzkie i inne, tłum. Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).